

KRONIKA LWOWSKA.

(Niema sezonu ogórkowego. — Jeszcze o strejku. — Zdenierwowane miasto. — Głuchy pomruk. — Także strejkowcy. — Kto z tego korzysta? — Panika w rynku. — Lwowskie przekupki. — Kąpiel w jajeczniczy. — Co uratowało przekupki? — Czyn konnej policyi. — Porabianie. — Delikatniejsze urzędowanie. — Metoda pana Stetkiewicza. — Czy jeszcze mało? — Czego p. Stetkiewicz nie lubi? — Zapisz pan sobie moje nazwisko. — Upomnienie przełożonego. — Lwowskie hotele. — Nasza kultura a Hotentoci i Kafrowie. — Jeden pokój o dwudziestu lokatorach. — Temat familijny. — Lwowskie piekarnie. — Wypadki i wpadki. — Kolejne bułki. — Poprawa apetytu. — Pogodne sceny. — Stara decyduje. — Którędy droga? — Mama już kocha. — Zwycięstwo. — Wyjazd bez mamy. — Jazda za młodymi. — Listy z drogi. — Podróż w kółko. — Szukanie dzieci. — Powrót. — Do Krynicy).

Niema w tym roku we Lwowie sezonu ogórkowego. Czasy niespokojne, oczekiwanie nadzwyczajnych wypadków, zgromadzenia, demonstracyjne pochody, interwencja policyi, popłoch kupców i przekupek, sprzeczne sprawozdania dzienników — to wszystko nie przestaje grać na potarganych nerwach mieszkańców stolicy. Dzięki niendolności naszych władz i uporowi pp. przedsiębiorców, strejk budowlany trwający od kilku tygodni, zaostroża się z dniem każdym i denerwuje całe miasto. Wystarczy przypomnieć onegdajszą panikę na rynku lwowskim między przekupkami i popłoch wśród kupców, którzy na lada okrzyk zamykają sklepy. Łada słówko, niebacznie rzucone, zdoła dziś zelektryzować całe miasto a gorączka mieszkańców ma wybitne znamiona manii prześladowczej. Sekunduje tej gorączce głuchy pomruk głodnych strejkowców, którym nareszcie przebiera miarka. Stoimy na wulkanie...

Kiedy się to skończy — nie wiemy, to jednak wiemy, że gdyby się nie skończyło rychło, mogą się powtórzyć wypadki z roku 1902.

Ze strejku obecnego korzystają rozmaite indywidua, które nie mając z robotnikami budowlanymi nic wspólnego, podszywają się pod ich firmę i na swój sposób „strejkują“. Włóczą się po mieście, odgrają się, zbierają składki, kradną, śpiewają i swoją drogą nawet nie wiedzą, kto strejkuje, kto czego żąda, do czego zdąży. Są to katylinarne egzystencje, które tu przywędrowały z prowincji, i z przedmieść tutejszych na wiadomość o strejku, ażeby przy tej okazji i dla siebie coś oberwać. O jakiejś bodaj na pół dokładnej ewidencji, kto do strejkujących należy, a kto nie, mówić nawet nie można, bo liczba strejkujących idzie w tysiące. Ci to nieproszeni pomocnicy strejkujących wywołują panikę i swoją drogą niesłusznie każde poruszenie w mieście przypisują strejkowi obecnemu. Co prawda, policya spotyka tam swoich dobrych znajomych, wyłącza ich od czasu do czasu i całemi gromadami odstawia do miejsca przynależności. Oni jednak wracają i dalej „strejkują“, bo taki czas, to dla nich żniwem najlepszym.

Podczas paniki między przekupkami przed ratuszem nie zauważono ani jednego ze strejkujących robotników budowlanych a natomiast z dwóch stron wyspali się na rynek rozmaitego gatunku „baciarze“ (to ich zbiorowa nazwa) z okrzykiem: „brać!“ Przekupka lwowska, to osoba zanadto nerwowa, ażeby na takie dictum i na widok kilkudziesięciu drabów stać spokojnie z założonemi rękoma. Nuże tedy całą śmietanę, jarzynę, kwiaty, jaja i co tam jeszcze naznosiły na sprzedaż — brąć na plecy i jazda do ratusza. I omal nie zostaliśmy bez ratusza, bo trzeba wiedzieć, że ratusz lwowski jako budowla stara i mocno się kiwająca wytrzymuje zaledwie swoich urzędników i rajców ostrożnie stąpających, ale tyle przekupek i to o takiej peryferyi, obławowanych nadto takimi kosztami pomieścić ni wytrzymać nie może. To też w bramie i w kurytarzu działy się piekielne sceny. Panie „kupcowe“ cisnęły się i lżyły, obrzucały się jajami, leżały sobie we włosach i wszystko kapało sięw mleku, śmietanie, jajeczniczy i tym podobnych darach bożych aż po sam pas.

Serca przekupek przestały dopiero bić gwałtownie na widok konnych policyautów, po których przyjeździe wylazły z tego bagna jaj, śmietany i ratuszowych woni. Wylazły zdrowe i świeże, nawet nieco zarumienione a tylko towar ich został w ratuszu. Sam ratusz nie rozsypał się i wymownie zadał kłam niecnym potwarzom, jakoby go mogły trzy tegie przekupki przewrócić.

Tak więc policya konna uratowała nam kilkadziesiąt przekupek, czem wystawiła sobie pomnik trwalszy od spiżu. O policyi słyszy się u nas coraz więcej mianowicie o jej zdziwieniu. Ostatnio podniosły dzienniki waleczność pewnego żołnierza policyjnego, który bez przyczyny porabiał spokojnego przechodnia. Takie urozmaïcenia powtarzają policyjanci bardzo często a mimo to władze dotąd

nie postarały się zapobiedz tym przypomnieniom waleczności.

Na co to rąbać szablą, kiedy można o wiele delikatniej a równie skutecznie urzędować, jak to robią niektórzy funkcyonaryusze policyi nprz. p. Stetkiewicz nie rąbie z zasady szablą, bo nawet szabli nie nosi. On jako szpic — pardon — jako rewizor, agent policyjny, chodzi sobie bez szabli, całkiem jako „cywil“, jako przystojny stateczny pan. Jest z natury delikatny, choć korpułentny, serce ma dobre, miękkie, jak masło. Teraz już łatwo zrozumieć, że człek o tak miękkim sercu nie mógłby nawet rąbać szablą. Natomiast p. Stetkiewicz ma lepszą, delikatniejszą metodę: on „wali w mordę“. Pięścią, kułakiem, albo w razie łagodzących okoliczności płaską dłonią bije ludzi w twarz i osiąga ten sam sukces, co inni rąbiąc szablą. Uśmiecha się przytem do brotliwie i pyta zawsze, czy jeszcze mało. Nie lubi tylko i to dość słusznie, gdy mu się kto trzeci wmiesza, mianowicie taki, który nie umie się poznać na delikatności pana Stetkiewicza i nieproszony bierze w obronę bitego. W takich razach p. Stetkiewicz mierzy okiem z góry na dół interwenienta, dodaje potem swojej ofercie jeszcze kilka policzków i powiada wielkodusznie:

— Widzisz pan, to on panu zawdzięcza, że dostał jeszcze dodatek a panu skoro się to nie podoba, to zapisz pan sobie moje nazwisko, nazywam się pan Stetkiewicz, c. k. rewizor policyi-

Zdarza się, że taki interwenient zapisze sobie to chlubnie znane nazwisko, ogłosi wszystko w dziennikach a p. Stetkiewicz staje przed obliczem przełożonego i musi wysłuchać takiego upomnienia:

— Jaki pan jesteś nieostrożny, wiesz pan przecie, że oni zaraz wszystko drukują, dzielny z pana agent a nie możesz tak walić, żeby nikt nie widział, patrz pan jak inni robią... tu wszyscy walą i rąbią, ale się nie zna nazwisk, o! Zrozumiałeś pan!?

Zrozumiał doskonale. Odtąd wali anonimowo i cieszy się sympatją przełożonych.

Sympatją jego i jego przełożonych cieszą się także lwowskie hotele drugo-trzecio i ostatniorzędne, o których się wiele mówi, ale też nic więcej się nie robi, aby je nareszcie otoczyć zasłużoną opieką. „Hotele“ te zdołają wiele ulic i placów we Lwowie a mamy ich tyle, że rzadko które miasto mogłoby się taką liczbą poszczycić. To jest tylko dowodem kultury. Hotentoci i Kafrowie z pewnością nie wiedzą, co to hotel. Dzikie ludy wogóle hotelów nie mają. Lwów ma. Jedno tylko jest niezrozumiałem. To mianowicie, dlaczego te instytucje nazywają się hotelami. Jest ich we Lwowie kilkaset... Tak twierdzą ludzie. Są między nimi i takie, w których dotąd żaden obcy nie zamieszkał a one istnieją, opłacają służbę i podatki. Właśnie... Bo one istnieją dla tutejszych, dla swoich. Jeden pokój ma dziennie dwudziestu lokatorów...

Szkoda, że ten temat nie nadaje się do rozstrząsania we „familienblacie“ i z żalem muszę go wypuścić z rąk.

Ale za to nasuwa mi się inny, więcej „familijny“. Chcę mówić o lwowskich piekarniach, które zresztą znane już są w całym kraju z długiego szeregu notatek kronikarskich wychwalających ich czystość. Biorąc do ręki bułeczkę urodzoną w piekarni lwowskiej ani się człowiek domysła, jak bogaty jest w wypadki i wpadki jej krótki żywot. Otóż naprzód mąka. Mąka ze składu dostaje się do piekarni i tu wysypana oczekuje kilka godzin na swoją kolej. W tym czasie oczekiwania zachodzą tam myszki i szczurki, czasem dzielnie kura, czasem wlezie jakieś psisko z wizytą a bardzo często — jak to w ostatnich dniach miało miejsce — małe bachory, dzieci piekarza, rozbierają się do naga i urządzają sobie kąpiel w mące. Przychodzi wreszcie czas, kiedy z mąki powstało ciasto. Suchotniczy piekarz, wałkując ciasto, kicha, kaszle i pluje a ręką zastępuje chustkę do nosa. Zanim bułka dostanie się do pieca zawiera już wiele zdrowych składników, które dla bakteriologa mogłyby stanowić prawdziwą kopalnię. Z pieca dostaje się bułka na ziemię brudną i od wieków nieczyszczoną, stąd do brudnego kosza, stąd na brudny wóz, stąd do czystego, schludnego sklepu, gdzie apetycznie wygląda.

Czy przyszło komuś na myśl zbadać stan zdrowia piekarzy, czystość piekarni, kosztów i wozów. O ile wiem dzieje się to raz na kilka lat, o czym z góry powiadomieni piekarze, zaprowadzają na prędce prowizoryczny porządek, aby zaraz po wizycie wrócić do dawnego niechlujstwa.

Na szczęście nie wszystkie piekarnie lwowskie są takie. Są lepsze, choć są jeszcze gorsze.

Jeżelim Ci, szanowny Czytelniku, zepsuł apetyt refleksjami na temat lwowskich piekarni, to postaram się w następującej historyjce poprawić Ci go, opisując pogodne sceny z życia rodzinnego pewnej lwowskiej rodziny, jeszcze pogodniejszej, niż te, które niedawno pokazał nam p. Heijermans.

Obywatel naszego miasta, właściciel wielkiej kamienicy, obszernej żony i pięknej córki, szukał długo męża, który byłby godnym ręki jego córki i tak pięknej kamienicy przy jednej z największych ulic Lwowa. Miał na oku bogatego przemysłowca. Ale żona ani słyszeć nie chciała o podobnym meżaliansie, tem mniej, że do pięknej jedynaczki dobijali się, jak muchy do miodu praśnego, ludzie z nazwiskiem, z herbem, z przyszłością i o wiele przystojniejsi. Jeden z nich, bardzo przystojny młodzieniec, mający między imieniem a nazwiskiem magiczne „hr.“ pozyskał tak dalece zaufanie mamy, że mógł być pewnym zwycięstwa. Rozumiał bowiem, że od mamy zaczynać należy, jeśli się ma zdobyć córkę. Mama przyznawała mu się głośno, że kocha go jak syna i nawet więcej... Chętnie wierzył... Ale za to tata ani rusz... Doszło do tego, że stara zagroziła samobójstwem. Córka na pytanie ojca odpowiedziała: niech już będzie, jak mama chce. Pozwolił. Odbył się ślub i młodzi mieli wyjechać do Mentony. Ale mama zaofiarowała się do towarzysztwa. Nie pomogły perswazyje starego, że nie wypada młodych deranżować — stara wzięła na upór i chce jechać. W cztery oczy wytłómaczył jej zięć, że lepiej będzie, skoro przyjedzie za młodymi w tydzień później do Mentony. Zrozumiała. Młodzi pojechali. Z podróży nadchodziły listy i widokówki. Nareszcie przyszedł list z Mentony. Mama zabiera jak najwięcej gotówki i jedzie do Mentony. Te pociągi pospieszne idą bardzo powoli. Narzekała na nie przez całą drogę. Byłaby chętnie przekupiła maszynistę, ażeby poleciał jak ptak.

Tatko tymczasem odbierał od dzieci jeden list po drugim, bo w Mentonie zabawili tylko dzień i pojechali dalej. Objechali pół świata i z każdej miejscowości przysyłałi do Lwowa listy, widoczki; fotografie. Stary pękał ze śmiechu. Stara ze złości. Objechała także pół świata, ale nigdzie nie znalazła swoich dzieci. Serce matki bardzo cierpiało. Gdy się jeszcze do tego wyczerpała cała gotówka wróciła do Lwowa po dwóch miesiącach podróży.

Przeczytała wszystkie listy. Wszędzie tam była, ale zawsze o kilka dni później. To się nazywa pech matki. Stary skonstatował, że żona jego w drodze schudła i zbrzydła. Tem ją dobił. Zasięgnęła porady lekarskiej i wyjechała bezwzględnie do Krynicy w celach kuracyjnych. Młodzi wracają tymi dniami do Lwowa. Stara beznadziejnie zdrowa

Nierozważnie.

Na ogólnej loteryi fantowej: Nr. 66 — gęś!
Głos z tłumy: Ma mój narzeczonny.

Zbyt regularnie.

Doktor: Pozwoliłem mężowi popijać lekarstwo kieliszkiem wina. Czy zażywa regularnie?

— A jakże, już ma cały nos czerwony.

Nasze dzieci.

Ojciec: No, taki upał, że chyba pójdę do gabinetu i zabawię się w Adama.

11-letnia córeczka: Tak? to niech mamusia zabawi się w Ewę, a otomana niech będzie drzewem wiadomości złego i dobrego.

Roztargniona.

Służąca: Proszę pani, przyszedł człowiek z drewnianą nogą!

Pani: Dziękuję — nie potrzeba!

Daremnie.

Doktor: Panie Brzuszkiewicz, musisz pan skromniej żyć i używać ruchu.

— Bo widzisz, kochany doktorze, jak jem, to muszę pić, a jak piję, to jeszcze więcej jem. A potem muszę spać i od tego mój brzuszec.

Nieporozumienie.

— Wierzaj pani, że nie łatwo mi przyszło pobłogosławić związek mej jedynaczki!

— Wierzę, wierzę. Przecie nie miała paniusia w tem żadnej wprawy!

Powód, skutek.

Ojciec: Co? znowu taburet przed fortepianem złamany?

Matka: Po co też naszej Andzi dają za ciężkie sztuki!